

# FUNDACJA CULTUREshock

Opowiadania uczestników projektu „Warszawskie Narracje”

CC – BY - SA [Autorzy opowiadań, Fundacja Culture Shock]

Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Polska

„Opuszczony szpital”

Autor: Mateusz „Świeżak” Dawidczyk

Pewnego dnia trzech kolegów umówiło się na dyskotekę. Spotkali się u jednego z nich i postanowili zaprosić więcej osób. Po godzinie było ich już ponad dwadzieścioro, każdy ze swoim alkoholem. Zaczęła się zabawa, która trwała aż do rana.

Następnego dnia jeden z nich, Jarek, obudził się z tętniącym bólem głowy. Zaczął klepać kolegę leżącego po jego prawej stronie.

- Stary, wstawaj! Była niezła impreza. No, wstawaj!

Nagle poczuł, że w powietrzu unosi się dziwny zapach. Było ciemno. Potrząsnął znajomym z całej siły, ale ten ani drgnął. Coś było nie tak. Sprawdził mu puls – okazało się, że chłopak nie żył. Zaczął budzić pozostałe postaci leżące wokół, ale i one były martwe. Poczuł się tak fatalnie, że aż skulił się w kacie.

Nagle obudzili się Radek i Edzio. Zmęczeni, rozejrzeli się dookoła. Nic niezwykłego nie zwróciło ich uwagi. Wtedy zobaczyli siedzącego z przerażoną miną Jarka. Radek powiedział:

- Jarek, co ty robisz?

Ten ledwie mógł mówić. Wyjąkał wreszcie odpowiedź:

- Powinniśmy stąd uciekać. Wszyscy nie żyją!

- Jak to?!

Radek i Edzio również próbowali obudzić resztę, ale bez skutku. Postanowili kogoś powiadomić, ale żaden z nich nie miał telefonu. Przerażeni, postanowili wyjść mrocznej piwnicy. Gdy podeszli do drzwi, zatrzymał ich łoskot przewracającego się w ciemności przedmiotu. Za drzwiami znaleźli schody. Szli powoli, ostrożnie.

Gdy wreszcie wyszli na zewnątrz zobaczyli, że są w nieznanym sobie miejscu. Dokoła były pola i droga. Jakieś dwieście metrów dalej stał budynek. Nagle usłyszeli krzyk małej dziewczynki. Pobiegli za nim w stronę, ale znaleźli tylko plamę krwi. Polną drogą uciekała już tajemnicza postać w czarnym płaszczu. Postanowili ruszyć jej śladem.

Gdy tak maszerowali, wreszcie zaczęli rozmawiać. Pierwszy odezwał się Radek:

- Wiecie może o co tu w ogóle chodzi?

- Nie. Ale z naszej imprezy nikt nie przeżył. Musimy komuś o tym powiedzieć. – Powiedział Radek.

- Ja nie mam przy sobie telefonu. I co teraz zrobimy? – Spytał Edzio?

- Chodźmy tą polną drogą, może dojdziemy do jakiegoś miasta. – Odparł Radek.

Szli tak dobre parę godzin. Edek, który często był głodny, zaczął narzekać, że jest zmęczony i chce odpocząć. Postanowili usiąść pod najbliższą jabłonią.

Jarek zbudowany był jak byk – potężny i łysy, robił groźne wrażenie, choć nie skrzywdziłby muchy.

Po dziesięciu minutach ruszyli dalej. Szli i szli, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ktoś ich obserwuje. Pola wreszcie się skończyły, niewielka droga prowadziła dalej do lasu.

Zaczęło się ściemniać, a Jarek, Edzio i Radek – który bez okularów niemal nic nie widział – byli głęboko wśród drzew. Co chwila słyszeli szelest, jakby ktoś poruszał się w krzakach. Wreszcie zostawili ze sobą las i zobaczyli przed sobą duży, opuszczony budynek. W oknach nie było szyb, ale część z nich migąła jeszcze psującymi się żarówkami. Z nadzieją, że znajdą pomoc, przyjaciele weszli do środka.

Budynek okazał się być starym szpitalem. Przed mężczyznami ciągnął się długi korytarz z rzędami sal po obu stronach. Jarek, Edzio i Radek dotarli wreszcie do takich, które zostały otwarte. W środku leżało dwoje ludzi – na pierwszy rzut oka przyjaciele wzięli ich za martwych. Mężczyzna naprawdę nie żył, zanurzony w kałuży krwi, która pokrywała prawie całe pomieszczenie. Kobieta jednak nagle poruszyła się, próbując wyswobodzić się z pasów, którymi była przywiązana do łóżka. Radek i Jarek szybko ją uwolnili. Ubrana była tylko w długą koszulę przypominającą lekarski fartuch. Krwawiła z rany na brzuchu.

- Co się stało?! – zapytał Radek.

Kobieta odparła słabym głosem:

- Dziwni ludzie przeprowadzają na nas operacje. Musimy stąd uciekać.

- Są inni?

- Tak, nawet bardzo dużo.

- Powinniśmy ich uwolnić.

- Nie damy im rady!

- Możesz uciekać. My zobaczymy co się tu dzieje.

Ola, bo tak miała na imię kobieta, postanowiła jednak pójść z nimi. Z piwnicy dobiegały ich dziwne odgłosy. Jarek bardzo się bał, ale poszedł wraz z resztą na dół. Jeszcze na schodach usłyszeli kroki. Schowali się do schowka. Przez szparę w drzwiach zobaczyli mijającą ich, przerażającą postać w czarnym płaszczu. W ręku niosła głowę małej dziewczynki.

Grupa ruszyła za nią. Po drodze Jarek sięgnął na jeden ze stołów po nóż. Mężczyzna w płaszczu wsunął się do Sali operacyjnej, a przyjaciele za nim. Jarek rzucił się na niego, ale broń na nic mu się nie zdała. Wytrącony z jego ręki nóż wylądował na posadzce, skąd natychmiast porwał go Radek. Wbił ostrze w plecy mężczyzny w czerni. Walka była skończona.

W Sali porozkładane były słoje z ludzkimi narządami – sercami, nerkami, płucami. Nalepki na nich były podpisane: „Francja”, „Niemcy”, „Rosja”. Nagle, trzech mężczyźni i dziewczyna usłyszeli kroki i szybko skryli

się za stołem operacyjnym. Ktoś wszedł do pomieszczenia. Z kryjówki widać było tylko ubłocone buty. Wreszcie Jarek nie wytrzymał napięcia i zemdłał, z hukiem osuwając się na ziemię. Przybysz usłyszał to i z rykiem odrzucił potężny stół, odkrywając Edzia, Radka, Jarka i Olę. Edzio, w przypływie paniki, złapał za kawałek rury i bez patrzenia rąbnął nim z całej siły w zabójcę. Jarek szybko się ocknął i cała grupa zaczęła uciekać. Gdy po chwili obejrzel się za siebie, goniło ich jeszcze dwóch podobnych mężczyzn. Wbiegli na dach, po czym po drabinie pożarowej zsunęli się na ziemię i wpadli do lasu. Prześladowcy wciąż byli za nimi. Po kilkunastu minutach odgłosy pogoni ustały. W oddali widać było małą chatkę. Zmęczeni uciekinierzy podeszli do niej.

- Co teraz? – zapytał Radek.

- Nie wiem. Musimy się z kimś skontaktować.

W chatce znaleźli telefon. Zadzwonili na policję. Podali swoją pozycję i powiedzieli, że będą poruszać się polną drogą na północ. Nie uszli daleko, gdy zza zakrętu drogi wyjechała stara ciężarówka. Rozległy się strzały. Przyjaciele, ciągnąc za sobą Olę, znów rzucili się do ucieczki. Nagle Radek przewrócił się i krzyknął z bólu. Miał złamaną nogę.

- Wstawaj, musimy uciekać! – błagał Edzio.

- Nie dam rady, zostawcie mnie!

- Musisz wracać do domu! Dasz radę!

- Idźcie! No ruszcie się!

Posłuchali go. Ciężarówka zatrzymała się przy Radku. Mężczyźni w czarnych płaszczach wciągnęli go do środka i zawrócili.

Po kilku minutach biegu Ola zobaczyła światła radiowozu. Podbiegli do niego, weszli do środka i zaczęli opowiadać o eksperymentach prowadzonych na ludziach w opuszczonym szpitalu. Policjant słuchał ich przez chwilę, po czym odwrócił się powoli w ich stronę. Całą jego twarz pokrywały straszne blizny. Szybkim ruchem wyjął broń i strzelił Edziowi w głowę. Jarek i Ola, przerażeni, przytulili się do siebie. Było już jasne, że policja jest w zмовie z zabójcami, a narządy ofiar sprzedawane są za granicę.

Policjant odwiózł ich do opuszczonego szpitala. Oboje dostali w głowę ciężkimi przedmiotami i stracili przytomność. Po jakimś czasie obudzili się przywiązani do łóżek. Ola była rozebrana do bielizny. Mężczyzna w czerni kroił jej brzuch ostrym skalpelem, lśniącem stalowo w słabym świetle. Jednym ruchem rozciął skórę i zaczął wydobywać wątrobę. Ola krzyknęła straszliwie. Niedługo potem wykrwawiła się na śmierć. Jarek zginął niedługo po niej.

Na drugi dzień trzech kolegów obudziło się w pomieszczeniu na ślicznym promie. Radek rozejrzał się przerażony po twarzach pozostałych i powiedział:

- Ale miałem sen!

- Ja też! Był taki realistyczny! – odparł Edzio.

- Ja też taki miałem! – dodał Jarek.

- Byliśmy na imprezie, potem... w jakimś opuszczonym szpitalu... I wszyscy zginęliśmy.

Okazało się, że wszyscy śnili ten sam sen. Po chwili zaczęli śmiać się z dziwnego zbiegu okoliczności.

Nigdy więcej się nie spotkali. W ciągu trzech miesięcy wszyscy trzej zmarli dziwną śmiercią. Radka policja znalazła z odciętą głową. Edzio zemdlął w pracy i upadł na metalowy pręt, który przebił mu czoło. Jarek natomiast podczas ćwiczeń na siłowni upuścił sobie na klatę sztangę.

Koniec.

---

## „Opuszczony szpital”

Autor: Mateusz „Świeżak” Dawidczyk

Pewnego dnia Marcin, Adrian i Artur szli sobie do szkoły. Nagle zaczął ich dziwny facet i zaczął mówić o tym, że dawno temu porwali go kosmici i przeprowadzali na nim eksperymenty, że niedługo zaatakują Ziemię i że potrzebna im jest czekolada.

Chłopcy wyśmiali go i poszli dalej, rozmawiając wesoło:

- Myślicie, że on mówił prawdę? – spytał Adrian.
- No co ty? Kosmici nie istnieją. – odpowiedział Marcin.
- Kosmici nie istnieją, człowiek powinien się leczyć. – dodał Artur.
- Pewnie macie rację. – przyznał Adrian – Chodźmy, bo się spóźnimy.

W szkole, pani zadała im pracę pisemną na trzydzieści minut. Gdy skończyli, poprosiła jedną z uczennic, żeby przeczytała swoją. W pewnym momencie czytania dziewczyna powiedziała:

- Nagle w Pentagon uderzyło coś dziwnego, co zrównało go z ziemią.... – zadzwonił dzwonek i wszyscy wyszli na przerwę.

Po szkole chłopcy poszli się przejść. Po godzinie Adrian musiał wracać do domu. W telewizji zobaczył film o małych ufoludkach, którzy niszczyli Ziemię. Obejrzawszy go, poszedł spać. Przez historię koleżanki, film i dziwnego faceta Adrian miał niespokojną noc. Śniło mu się, że porwały go małe stwory. Następnego dnia w drodze do szkoły wciąż myślał o tym samym – o kosmitach.

Po drodze spotkał swoich dwóch kolegów. Niedługo znów spotkali tego samego faceta. Stał na rogu ulicy z tabliczką: „Kosmici nadchodzą! Szykujcie czekoladę!” Zaczęli się z niego śmiać i poszli dalej. Pogoda była piękna – ani jednej chmurki na niebie – a oni mieli świetne nastroje.

W szkole było bardzo nudno, przynajmniej do czasu gdy podczas lekcji nagle zrobiło się ciemno. Na niebie pojawił się wielki, czarny trójkąt. Wszyscy wybiegli przed budynek, żeby mu się przyjrzeć. Nikt nie wiedział co się działo ani co to mogło być.

- Myślicie, że to kosmici? – spytał Adrian.
- Nie wiem. Może... - odparł Artur.
- Ja myślę, że tak. – stwierdził Marcin.

Po kilki minutach z nieba zaczęły zlatywać mniejsze trójkąty, które zaczęły strzelać sreberkami od czekolady. Ludzie zaczęli z krzykiem szukać schronienia. Niedługo potem pod szkołą była już policja i straż pożarna. Uczniowie włączyli telewizor w bibliotece. Okazało się, że takie trójkąty pojawiły się na całym świecie. Podobno byli to kosmici. Wojsko zaczęło wysyłać swoje myśliwce, żeby nawiązały kontakt, lecz nic z tego nie wyszło. Obcy zaczęli niszczyć Ziemię.

---

Trzech kolegów schowało się w opuszczonej sali. Chcieli zadzwonić, ale znalezienie telefonu zabrało im trochę czasu. Wreszcie postanowili zadzwonić po Jamesa Bonda.

- Dzień dobry! Mamy do pana sprawę. – zaczął Artur.
- Cześć, co się dzieje?
- Kosmici nas atakują i potrzebujemy twojej pomocy.
- Gdzie jesteście?
- W szkole...
- Będę za dwie godziny.

Chłopcy zostali w sali. Bardzo się bali. Nagle zgasło światło i do Sali wszedł kosmita. Miał niebieską skórę, różowe laczki i duży nos. Stał w drzwiach. Przerażeni chłopcy znieruchomieli i czekali co się stanie. Obcy zaczął iść w ich stronę, lecz w tej chwili ktoś zapalił światło. Był to James Bond z Facetami w Czerni. Ci ostatni szybko załatwili kosmitę i cała grupa przeszła do Sali, gdzie kryła się reszta uczniów.

Artur, Marcin i Adrian powiedzieli, że od pewnego człowieka wiedzą, że kosmici chcą czekolady. Postanowili wziąć helikopter i polecieć w stronę wielkiego trójkąta w celu nawiązania kontaktu. Tym razem obcy odpowiedzieli. Po dwudziestu minutach dwaj obcy spotkali się w starej fabryce z Jamesem Bondem, Facetami w Czerni i chłopcami.

- Czego szukacie na Ziemi? – spytał od razu James Bond?
- Potrzebujemy czekolady. – odpowiedział kosmita.
- To czemu niszczyacie naszą planetę?
- No... bo chcemy zdobyć czekoladę.
- Dogadajmy się. My damy wam czekoladę, a wy posprzątaacie ten bałagan, który zrobiliście.

Po chwili namysłu kosmici przystali na warunki i obiecali odbudować to, co zniszczyli. James Bond wykonał kilka telefonów do dużych fabryk czekolady. Ich właściciele zgodzili się oddać część zapasów dla dobra Ziemi. Gdy tylko transport dotarł do kosmitów, ci zaczęli wraz z ludźmi odbudowywać planetę. Gdy skończyli, przeprosili ludzkość za wyrządzone krzywdy i odlecieli na swoją planetę, Czekolandę.

Tego dnia nikt nie zapomni. Na ulicy Szanajcy stanął pomnik poświęcony obcym, którzy chcieli zawładnąć Ziemią dla czekolady. Teraz żyją sobie pewnie spokojnie gdzieś w kosmosie, choć co jakiś czas chodzą plotki, że ktoś widział na niebie dziwny trójkąt.

---

## „Rzeźnik”

Autor: Artur

- Pytałeś o blizny na plecach? To naprawdę szokująca historia i pewnie w nią nie uwierzysz, ale z chęcią ci ją opowiem.

Zaczęło się od tego, że któregoś dnia ocknąłem się w jakiejś chacie. Wisiałem na dwóch zakrwawionych hakach. Dokoła było ciemno, tylko przez zabite deskami okno wpadały promienie

dziennego światła. Dzięki nim zauważyłem noże, młotki, haczyki i inne stare, przerdzewiałe przyrządy do mięsa, które znajdowały się na pokrytym krwią stole. Nie wiedziałem co się dzieje. Próbowałem sobie przypomnieć co się wcześniej wydarzyło. Wszystko, od samego początku, przeleciało mi przed oczami.

Mniej więcej rok temu wprowadziłem się z wujkiem do starego, jednorodzinnego domu. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zauważyliśmy młodą, ubraną w starą spódnicę sprzątaczkę. Z jej ust padły słowa:

- Witam. Nazywam się Margaret, służyłam poprzednim właścicielom. Z chęcią pomogę wam się rozpakować, ale mam małą prośbę. Pomożecie mi otworzyć jedne drzwi?

- Jasne. A co się za nimi znajduje?

- To stary gabinet pana Robbiego Fridge'a.

- No dobrze, to do roboty! Ja jestem Bill, a to mój bratanek, Robbie.

- Miło panów poznać. Witajcie w domu!

Kiedy już odnaleźliśmy drzwi, zobaczyłem olbrzymią szafę z książkami – zajmowała całą ścianę. Od razu poczułem woń starego papieru i drewnianych mebli. Wszystko dokoła było pokryte kurzem. Margaret była strasznie zdenerwowana, najwyraźniej czegoś szukała. Chodziła po całym pomieszczeniu i z niepokojem zaglądała w każdy kąt.

Podczas sprzątanía znalazłem stary list. Schowałem go do kieszeni tak, aby Margaret nie zauważyła. Skończywszy z gabinetem, poszedłem w pełni obejrzeć dom. Chwilę później natknąłem się na drewniane drzwi zamknięte na kłódkę. Były tak stare, że gdy tylko w nie kopnąłem, z łatwością wpadły do środka. Przede mną leżały stare puchary, medale i trofea z polowań. Gdy tak się rozglądałem, moją uwagę przykuł błysk. Okazało się, że była to skrzynia – światło odbiło się od jej zamka. W środku znajdował się średniej wielkości pamiętnik z dziwnym krzyżem wypalonym na okładce. Zabrałem go ze sobą.

Po męczącym dniu położyłem się spać. Obudziło mnie stukanie w okno, ale okazało się, że była to tylko spróchniała gałąź drzewa. Nie mogłem zasnąć, ale przypomniałem sobie o liście i dzienniku, które leżały w mojej szafce. Zaciekawiony zwłaszcza pamiętnikiem zacząłem go czytać. Nie zrozumiałem zawartości, więc otworzyłem list. Przeczytawszy go przeraziłem się na dobre.

Był to list od osoby opisującej, że ktoś chce ją zabić i która chciała jak najszybciej wynieść się z domu. Na dnie koperty leżał skrawek gazety ze zdjęciem domu, w którym mieszkałem. Gdy mu się przyglądałem, zza ściany dobiegł mnie odgłos tłuczonego szkła. Podszedłem do niewielkiej szczeliny i spojrzałem do sąsiedniego pomieszczenia. Tego pokoju jeszcze nie znałem. Pobiegłem po młotek i wyburzyłem ścianę. Za nią znalazłem świecę – jeszcze dymiła.

Poczułem się poważnie zagrożony. Leżałem na łóżku, ale przez całą noc nie zmrużyłem oka. Z samego rana ruszyłem szukać wujka Billa, ale nigdzie go nie było, więc poszedłem na spacer. Niedaleko domu zauważyłem stary, biały, zardzewiały samochód, cały poobijany i pozbawiony kół. Znalazłem w nim srebrny naszyjnik w kształcie serca. W środku było zdjęcie Margaret. Zdziwiony, ruszyłem biegiem z powrotem do domu.

Po drodze natknąłem się na chatkę, przed którą siedział stary facet ze strzelbą. Przestraszyłem się, ale kiedy zobaczyłem, że mnie nie atakuje, stwierdziłem, że nic mi nie zrobi, więc podszedłem bliżej. Wtedy się odezwał:

- Witaj, młody człowieku. Nie boisz się sam tutaj chodzić? Nie słyszałeś o grasującym tu zabójcy?

- O kim? Nic nie słyszałem. Opowie mi pan?

- To prawdziwy wariat! Jest rzeźnikiem. Chodzą pogłoski, że zabija tylko po to, żeby mieć mięso. Podobno sprzedaje je do sklepów. Słyszałem, że pomaga mu córka. Nigdy ich nie złapano.

- Córka? Ale jak to?

Gdy tylko zadałem to pytanie, głowę mężczyzny przepołowiała duża siekiera. Przeraziłem się. Dwadzieścia kroków ode mnie stał masywny, wysoki mężczyzna. Był ogromny. Od razu rzuciłem się do ucieczki. Zabójca gonił mnie bardzo długo, aż w końcu potknąłem się o rączkę jakiejś przykrytej liśćmi kłapy. Wszedłem do środka. Było ciemno. Gdy zapaliłem słabe światło, zobaczyłem tablicę, a na niej galerię zdjęć wielu ludzi. Najdziwniejsze było to, że i moje tam było. Zszokowany oglądałem pomieszczenie. Na biurku leżało zdjęcie zabójcy i Margaret. Z tyłu napisane było: „Dla kochanego taty, córka Margaret.” Obok leżała lista z tytułem „Mięso” oraz nazwiska ludzi. Zdziwiłem się bardzo, bo było tam też moje imię. To było potworne, znów zacząłem uciekać. Gdy tylko wybiegłem z pomieszczenia, dostałem czymś ciężkim w głowę i straciłem przytomność. Kątek oka zobaczyłem jeszcze Margaret. Trzymała w dłoniach duży, zakrwawiony kawał drewna – belka miała może z metr długości.

Kiedy się ocknałem, nie wiedziałem co się stało. Nagle wszystko sobie przypomniałem. Próbowałem się uwolnić. Na stole leżał nóż, ale ja wisiałem na hakach. Strąciłem ostrze ze stołu i w ogromnym bólu wyrwałem się na wolność. Złapałem nóż i uciekłem jak najdalej mogłem. W końcu wybiegłem na drogę i jakaś starsza pani zawiozła mnie do szpitala. Potem poszedłem na policję i opowiedziałem wszystko komendantowi Bobowi. Ten pojechał na miejsce z dużym wsparciem. Margaret została postrzelona podczas ucieczki. Jej ojca nigdy nie odnaleziono. Nikt nie wie jak ma na imię i nazwisko ani czy jeszcze żyje.

Od tamtego czasu nie widziałem ani wujka Billa, ani Boba, ani zabójcy i Margaret. To właśnie moja historia.

---

„Klub”

Autorka: ???

Do pewnego klubu młodzieżowego przyszedł Jakub. Był to chłopiec niski, bardzo wstydliwy, nieśmiały i spokojny. Bardzo chciał należeć do klubu i zapytał rówieśników czy mieliby ochotę przyjąć jeszcze jedną osobę. Młodzież, zanim odpowiedziała chłopcu, wyśmiała go ot tak, bez powodu. Wychowawca powiedział, żeby dać mu szansę. Członkowie klubu spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami jakby się zgadzali.

Następnego dnia Kuba przyszedł do klubu jako pierwszy. Miał pewien problem i postanowił powiedzieć o nim wszystkim. Przychodziło coraz więcej osób, a Jakub zaczynał się coraz bardziej stresować. Powiedział, że wie, że będzie to trochę głupie i może wydawać się dziwne, ale od pewnego czasu męczyły go jakieś dziwne stwory. Wydawało mu się, że były to duchy. Młodzież wybuchła śmiechem. Chłopiec zawstydził się i wybiegł z klubu.

Kuba wrócił do domu i postanowił trochę nastraszyć kolegów. Poszedł do swojego „ulubionego miejsca”. Był to opuszczony budynek, w którego pożarze dwa lata wcześniej zginęły młode osoby. To właśnie tam chłopiec po raz pierwszy usłyszał coś dziwnego. Były to trzy duchy. Jakub po jakimś czasie przestał się ich bać i postanowił troszkę bardziej się z nimi poznać. Każdemu wymyślił nawet imię: Kacper, Lucyfer i Ksaweryn. Duchy bardzo polubiły chłopca i postanowiły pomóc mu nastraszyć młodzież.

Pewnego dnia wszyscy siedzieli w klubie jak zwykle. Słychać było głośną muzykę, młodzież grała w karty i wygłupiała się. W pewnym momencie zgasło światło a muzyka przestała grać. Zrobiło się strasznie. Dziewczyny krzyknęły. Nagle spadł obraz. Przerazona młodzież wraz z wychowawcą wybiegła z klubu.

Tego dnia Kuby nie było z nimi, chłopiec o niczym więc nie wiedział. Przyszedł do klubu następnego dnia i został przez wszystkich nawyzywany. Nie wiedział o co chodziło i nie potrafił się bronić. Poprosił, żeby powiedziano mu co się stało. Wszyscy zaczęli na niego wrzeszczeć, żeby przestał udawać debila. Powiedzieli, że jeśli chciał ich za karę wystraszyć, to mu się udało. Chłopiec nadal nie wiedział o co chodzi, a nikt nie chciał mu powiedzieć co się stało.

Zbliżała się godzina 20 i Kuba musiał wracać do domu. Jednak wcześniej postanowił pójść do swojego ulubionego miejsca. Zawołał Kacpra, Lucyfera i Ksaweryna. Na początku nikt nie odpowiedział. Było cicho. Chłopiec trochę się bał, bo nigdy nie chodził tam po ciemku. Nagle z szafy wyleciały trzy duchy. Kuba bardzo się przestraszył i poprosił, żeby nigdy więcej tak nie robiły.

Nie były to typowe duchy. Mówiły i miały nogi, a to u nich niezwykle. Na sobie miały coś w rodzaju prześcieradeł. Jakub zapytał jednego z nich czy wie czemu młodzież w klubie tak bardzo go nie lubi, dokucza mu i wyzywa. Gdy Kacper, Lucyfer i Ksaweryn to usłyszeli, wylecieli z opuszczonego domu nie mówiąc ani słowa. Widać było, że są zdenerwowane. Chłopiec, bojąc się zostać sam, również uciekł.

Jak każdego dnia tygodnia, Kuba wybrał się do klubu. Zastał tam wyjątkowo wiele osób. Wychowawca zaproponował wywoływanie duchów. Młodzież już się nie bała i postanowiła się pobawić. W końcu myśleli, że to Jakub ich straszy; on zaś wciąż nie wiedział co się działo. Chłopiec trzasnął drzwiami i powiedział, że nie bawi się w takie zabawy i ostrzegł, że reszta może tego pożałować. Jak zawsze, został wyśmiany.

Młodzież bardzo dobrze się bawiła, gdy nagle znowu zgasło światło. Marcin, jeden z uczestników, powiedział, że to już nie było straszne i żeby Kuba wymyślił coś nowego. Nikt inny się nie odezwał. Po dłuższej chwili rozległ się wrzask. Wychowawca szybko zapalił światło i zobaczył ciało Marcina na podłodze. Miał podrapaną twarz i scyzoryk wbity w brzuch. W tej właśnie chwili Kuba wszedł do klubu. Zobaczył Marcina i zaczął krzyczeć. Przestraszył się i uciekł. Pobiegł szybko do swojego ulubionego miejsca i zaczął krzyczeć na duchy. Kacper, Lucyfer i Ksaweryn uśmiechnęli się do chłopca i powiedzieli, że już nikt nie będzie mu dokuczał, a już na pewno nie Marcin.

Chłopiec nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Ze łzami w oczach powiedział im, że nie prosił, żeby kogoś zabili, tylko żeby jego rówieśników trochę nastraszyli. Kacper, Lucyfer i Ksaweryn roześmiali się i powiedzieli, że nastraszyli ich trochę bardziej niż trochę. Chłopiec pobiegł do domu.

Całą noc nie mógł zasnąć, bo myślał o swoim koledze, który umarł. Kuba w tej sytuacji nie chciał być sam, więc poszedł do klubu. Młodzież widziała, że bardzo przeżywa to, że Marcin nie żyje, mimo, że był to chłopiec najbardziej Kubie dokuczający. Jakub z płaczem mówił, że to wszystko jego wina, bo prosił duchy, żeby ich nastraszyły. Gdy młodzież to usłyszała, zaczęła wierzyć w jego „wymyślone stwory”. Chłopiec trochę się uspokoił i zapytał czy mogliby mu pomóc zrobić coś, aby duchy zniknęły i nikomu już nie zagrażały. Jego koledzy zgodzili się, choć nie wiedzieli co mogą zrobić.

Przez kolejne dni wciąż gasły światła i spadały obrazy. Wychowawca postanowił na jakiś czas zamknąć klub. Spędzali wspólnie czas w kinie, na basenie i na rowerach. Nadszedł weekend. Kuba chciał go spędzić sam i postanowił zostać w domu. Słuchał muzyki i leżał na łóżku. Nagle na ramieniu poczuł czyjąś dłoń. Otworzył oczy i zobaczył ducha Marcina. Chłopiec strasznie głośno krzyknął, ale Marcin przytrzymał mu dłoń u ust i powiedział, żeby się nie bał. Kuba przestał krzyczeć i patrzył na niego jak zaczarowany. Duch powiedział, żeby wszyscy wrócili do klubu i bawili się tak, jak zawsze. Nikt już nie będzie im dokuczał, a tym bardziej straszył. Duch bowiem postanowił się zrewanżować za wszystkie przykrości, które Kubie wyrządził, i bronić go. Klub był dla niego jak rodzina. Kuba, ze łzami w oczach, uśmiechnął się do Marcina i poszedł spać.

Obudził się około ósmej rano myśląc, że to wszystko sen. Jednak obok łóżka leżały klucze do klubu. O godzinie jedenastej spotkali się wszyscy i bawili tak, jak zawsze. Kuba czuł obecność Marcina i



niczego już się nie bał. Wszystko się zmieniło. Kuba nie był już wyśmiewany. Wręcz przeciwnie, wszyscy bardzo go polubili.

---

## „Samotny Wilk i Dziecko”

Autor: Edzio

Dawno temu, podczas II wojny światowej, była sobie pewna rodzina. Była biedna. Rodzice mieli syna o imieniu Dominik. Był on młody, miał sześć lat i jeszcze nie rozumiał co to jest wojna. Chłopiec miał bardzo ładne oczy w odcieniu brązu i był mały, miał może metr dwadzieścia wzrostu. Miał też bardzo dużą wyobraźnię. Często mówił, że widzi i słyszy jakieś rzeczy. Kiedyś widział jak jego koledzy giną na polu walki.

Pewnego dnia była burza. Drzewa się łamały, brakowało jedzenia a ludzie się bali. Jedli to, co było pod ręką. Dominik bardzo płakał z głodu i ze strachu przed burzą. Rodzice go uciszali, ale to nic nie dało. Po godzinie otworzyły się drzwi, stanął w nich Piłsudski i powiedział:

- Jesteście wolni!

- Juhu! – chórem odpowiedzieli ludzie z domku.

Cały obóz był szczęśliwy, że ktoś wreszcie ich uratował i ochroni przed wrogiem. Piłsudski ogłosił:

- Powyżej osiemnastu lat – na lewo! Reszta na prawo!

Wszyscy zaczęli dyskutować czemu mają tak robić. Posłuchali Generała i ustawili się, choć nie wszyscy się z tym zgadzali. Ci, którzy się sprzeciwiali, zostali w jednym domku i tam czekali na wrogów. Po jakimś czasie obóz zaatakowały śmigłowce. Wszyscy spanikowali i zaczęli uciekać. Piłsudski dostał kulkę w głowę. Żołnierze próbowali wszystkich uspokoić. Dominik stał w miejscu i szukał rodziców. Wreszcie zaczął uciekać w ciemny las.

Na drugi dzień, Dominik obudził się przy jakimś wilczysku. To nie był zwykły, młody wilk. Sam dopiero co otworzył oczy. Zwierzę wstało i zaczęło pokazywać drogę. Dominik wciąż nie wiedział co się dzieje. Postanowił poszukać obozu, z którego uciekł. Na miejscu zdążył zauważyć, że wilk kuleje, kiedy rozległy się strzały. Zwierzę doprowadziło chłopca do rodziców, po czym umarło.

---

## „Powrót”

Autorka: Karolina

Dawno, dawno temu w małej wsi mieszkała starsza kobieta o imieniu Zofia wraz z wnuczką, Krzysią. Obie bardzo się na wzajem kochały. Mama dziewczyny zmarła gdy wydała ją na świat, a tata zapił się cztery lata później. Wychowywała ją babcia, która po śmierci ukochanego męża nigdy już z nikim się nie związała; sama ze wszystkim dawała sobie radę, wychowała przecież córkę i wnuczkę!

Wioska, w której mieszkały, była stara i zrujnowana. Przy drogach rosły płaczące wierzby, latarnie rzadko działały. Domy miały ciemne okna i zarośnięte chwastami ogrody ukryte za płotami, z których odpadała farba.

Krysia miała siedemnaście lat. Była szczupłą blondynką o zielono-niebieskich oczach. We wszystkim pomagała swojej babci. Razem gotowały i sprzątały domek. Były jedynymi mieszkankami tej

niemal opuszczonej wsi. Dziewczyna chodziła do piwnicy po węgiel, do lasu po drewno, na zakupy do sąsiedniej wsi. Bardzo kochała swoją babcię, bała się jednak, że i ona ją w końcu opuści. Musiałaby wtedy powiadomić wujka, który żył odcięty od rodziny i dużo pił. Mężczyzna ten bardzo chciał, żeby Krzysia przeprowadziła się do niego, ona jednak nie lubiła go, a poza tym wiedziała, że nie może zostawić babci samej. Dziewczyna bała się też, że wuj nie poświęciłby jej tyle czasu, ile spędzała z babcią, że nie będzie mogła z nim zwyczajnie pogadać ani zagrać w szachy, które tak uwielbiały.

Pewnego dnia babcia wyciągnęła z dużego pudła stare zdjęcia i opowiadała wnuczce historie z przeszłości. Rozmawiały tak kilka godzin w salonie domku, ciesząc się ciepłem rozpalonego pieca. Wyciągnąwszy zdjęcie wujka, babcia przypomniała sobie, że ten chciał, żeby Krzysia zamieszkała z nim choćby na jakiś czas. Wyjaśniła wnuczce, że to brat jej mamy i że pije od prawie osiemnastu lat, od czasu jej śmierci. W końcu była to jego ukochana siostra. Dziewczyna wybiegła z pokoju krzycząc, że nie chce tego słuchać. Za domkiem było niewielkie, otoczone krzakami podwórko. Z gałęzi starego drzewa zwisała tam huśtawka. Krzysia usiadła na niej i pogрузzyła się w myślach.

Dwa dni później, babcia znów próbowała porozmawiać z nią o wyjeździe do wujka. Dziewczyna znów odpowiedziała, że boi się tam jechać mimo, że ma tam znajomych. Poza tym, powiedziała, kocha babcię i boi się ją zostawić. Staruszka jednak nalegała na ten wyjazd, żeby dziewczyna mogła żyć dalej. Tutaj w końcu nie działało się nic. Krzysia z płaczem wybiegła z pokoju i nic nie mówiąc wypadła z domu.

Wróciła dopiero wieczorem. Zaniepokojona babcia spytała gdzie była, ale Krzysia odpowiedziała wymijająco. Powiedziawszy babci „dobranoc” zamknęła się w swoim pokoiku. Tam, przy świetle zakurzonej lampki, zaczęła pakować dużą, skórzaną walizkę. Gdy dopięła paski, usiadła do napisania pożegnalnego listu. Pisała długo, chcąc się upewnić, że babcia śpi już w sąsiednim pokoju. Wreszcie wymknęła się przez cichy dom i uciekła w noc.

Najpierw skierowała się do opuszczonego domu przy końcu ulicy. Mieszkał tam pies, którego od lat dokarmiała. I tym razem przyniosła mu resztki z obiadu. Chciała się z nim pożegnać, ale kiedy wyszła, zwierzę pobiegło za nią. W głuchej ciszy nocy dziewczyna, taszcząc walizkę i oglądając się na psa, zniknęła za zakrętem drogi.

Minęło kilka lat. Pewnego letniego dnia przed niewielki, zapuszczony domek, w którym mieszkały Krzysia z babcią, zjechał samochód. Wsiadła z niego najpierw elegancko, lecz prosto ubrana młoda kobieta, a potem niewysoki, solidnie zbudowany mężczyzna w letnim garniturze. Uśmiechnęli się do siebie, zmęczeni po długiej podróży, po czym pomogli wsiąść trójce dzieci. Krzysia, teraz już kobieta o zielono-niebieskich oczach, z wahaniem otworzyła bramkę i przyjrzała się wyraźnie zaniechanemu podwórku.

W tej samej chwili ktoś zawołał ich z drugiej strony ulicy. Zza zakrętu wyszedł niemłody mężczyzna, który powitał rodzinę ciepłym uśmiechem. Nazywał się Czesław i mieszkał za rogiem. Dowiedziawszy się, że przyjezdni szukają pani Zofii, posmutniał i zaprosił ich do siebie na herbatę.

Dom Czesława był czysty i zadbane. Trójka nowoprzybyłych dzieci biegała po trawniku, podczas gdy dorośli rozmawiali przy szklance herbaty w przestronnej kuchni. Gospodarz opowiedział gościom jak poznał panią Zofię i zaprzyjaźnił się z nią niedługo po tym jak sam się tu sprowadził. Pomagał jej w pracach domowych i z przyjemnością siadał przy niej wieczorami. Często opowiadała o swojej wnuczce, którą bardzo kochała. Pewnego dnia, gdy przyszedł ją odwiedzić, zastał ją nieruchomą na podłodze. Zadzwoił po pogotowie i sam starał się pomóc, ale starsza pani nie żyła. Czesław sam zajął się pogrzebem.

Krzysia i jej mąż słuchali opowieści w ciszy. Potem porozmawiali jeszcze trochę o wsi i jej dzisiejszych mieszkańcach, po czym wrócili do zaniechanego domku. Krzysia wraz z córkami spędziła dwie godziny na wewnętrznym podwórku. Młodsza dziewczynka nie chciała zejść ze starej huśtawki, a starsza znalazła w krzakach porzucony wózek dla lalek. Jej mama wyjaśniła jej, że to była jej zabawka, gdy

była mała. Nagle z domu wybiegł jej synek, niosąc kilka pionków szachowych. Chciał wiedzieć do czego służą, więc cała rodzina przeniosła się do saloniku. Tam Krzysia wyciągnęła dużą, drewnianą szachownicę i zaczęła tłumaczyć dzieciom zasady gry. Jej starsza córka znalazła też pudło ze zdjęciami. Kobieta opowiadała o osobach, które się na nich znajdowały, ale z czasem robiła się coraz bardziej zamyślona. Dzieci szybko zabrały się za zwiedzanie reszty domu.

Wieczorem tego dnia Krzysia z mężem wyszli na spacer. Mijali świeżo odmalowane płoty, zadbane ogródki i nowe latarnie. Szli pod rękę, pozdrawiani przez mieszkańców. Były to młode małżeństwa, często z dziećmi. Na rynku, który Krzysia pamiętała jako zupełnie opuszczony, stał teraz odnowiony kościółek i przedszkole.

Małżeństwo usiadło na ławeczce przed kościołem. Przez całą drogę rozmawiali, przytuleni do siebie. Mąż widział, że Krzysia bardzo przeżywa ten powrót, więc zaczął ją wypytywać. Potem snuli razem swoje plany na przyszłość. Wreszcie wstali z ławeczki, by wrócić do dzieci, które wcześniej zostawili u Czesława. Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, spojrzał żonie w oczy i zapytał cicho: „To co, zostajemy?”

---

„Pewnego dnia na ul. Barskiej”

Autor: wychowanek MOW przy Barskiej

Pewnego dnia w 1944 roku w Warszawie wybuchła wojna. Na teren dzisiejszego ośrodka wychowawczego przy Barskiej toczyły się walki z okupantem. W trakcie strzelaniny, żołnierze z elitarnej dywizji Hermann Göring próbowali powstrzymać z budynku Barskiej atakujących powstańców. Jednak zostali wyparci. Rano stróż wyszedł na teren żeby posprzątać i w krzakach usłyszał dziwne odgłosy. Sięgnął po pistolet i cichutko podkradł się aby wy badać co kryje się w tych krzakach. Znalazł tam postrzelonego Niemca. Miał całą brudną twarz i poszarpany mundur.

Stróż zabrał rannego do budynku gdzie opatrzyli go lekarze  
Gdy się żołnierz się obudził zobaczył nad swoją twarzą księży.

Wystraszony Niemiec piskliwym głosem zapytał:

"Dlaczego mi pomagacie? Przecież ja jestem waszym wrogiem. Strzelałem do was... Gdzie ja w ogóle jestem?"

Jeden z księży zbliżył się do niego. Spojrzał w oczy i powiedział:

"Mogę Ci odpowiedzieć na to pytanie. Ale będziesz musiał posłuchać pewnej historii"

Ten sierociniec w tym miejscu założył ksiądz Toporski. Lubił on bardzo dzieci i pragnął im pomagać. Założył szkołę w której dzieci nie tylko uczyły się pisać i liczyć ale również pracować. Jak do tego doszło? Otóż pewnego dnia...

Był dzień jasny i piękny. Ksiądz Toporski szedł do chorej kobiety żeby udzielić jej sakramentu i zobaczyć co u jej syna. Gdy wszedł w bramę podszedł do niego stróż. Mężczyzna miał siwe włosy, małą bródkę, ciemno zielone oczy i był cały ubrany na czarno. Ksiądz rozpoznał dozorcę Jaunsa "Pani Barbara jest w domu?" - zapytał.

"Proszę Księdza niech no Ksiądz podejdzie tu na bok, na chwilę..."

Powiedział, a kiedy ksiądz podszedł opowiedział mu straszną historię.

"Wczoraj około 9:30 rano przyszedł carski dzielnicowy do Pani Barbary. I ona nie miała co jeść i nie miała pracy. Więc oddała dzielnicowemu dziecko za 5 rubli."

"Nie wierzę w to!!"

Powiedział Ksiądz i szybko poszedł sam sprawdzić na górę. Zapukał pod nr 5. Drzwi otworzyły się, a ksiądz popatrzył na brudną i lekko posiniaczoną twarz Pani Barbary ze zdziwieniem. Pani Barbara powiedziała księdzu że sprzedała swoje dziecko bo nie miała co jeść. Toporski powiedział, że źle postąpiła ale niech się nie martwi bo będzie dobrze.

Dlatego Ci pomagamy. Dlatego, że ksiądz Toporski dał nam przykład że ludziom trzeba pomagać i wspierać się nawzajem, nieważne kim są i co zrobili.

Zapadła cisza.

Księża usłyszeli odgłosy z holu. Nagle wpadli Niemcy i zaczęli celować w kapłanów. Niemiec którego opatrywali zaczął krzyczeć

"Nie strzelać! Nie strzelać! Oni mi pomogli! Oni są dobrzy!"

Niemcy opuścili broń i podziękowali księżom za tą opiekę nad ich żołnierzami i obiecali zostawić ich dom w spokoju.

Koniec.

*Na podstawie autentycznych wydarzeń.*

---

## „Atak Kosmitów”

Autor: „Czosnek” Serduszko

Pewnej bardzo zimnej nocy na niebie nad samym środkiem ul. Stalowej pojawił się świecący okrągły statek kosmiczny. Było ciemno więc było go wyraźnie widać.

W statku było trzech bardzo okropnych, brzydkich, śliniących się obcych. Na imię mieli: Pierwszy, Drugi i Trzeci.

Pierwszy miał na ziemi taki cel aby zdobyć jak najwięcej lizaków. Drugi chciał po prostu rządzić ludem, a Trzeci chciał wszystkich pozabijać. Gdy już wylądowali na środku ulicy Stalowej to żadne odgłosy przez dłuższy czas nie wychodziły z tego dziwnego, wyglądającego jak jajko na nóżkach pojazdu. Mijały godziny, aż w końcu ukazał się piękny ranek. Ulica Stalowa bardzo ładnie wyglądała tego poranka. Słońce świeciło i bardzo wyraźnie było widać kamienice. Ludzie zaczęli wyruszać samochodami do pracy i tramwaj też już ruszał z zajezdni, ale nikt nie mógł przedostać się przez ulice Stalową ponieważ statek kosmiczny stał na samym środku. Wszyscy byli bardzo źli, że nie mogą przejechać. część z nich była już spóźniona do pracy. W tramwaju już ktoś zaczynał pokrzykiwać:

-Eee! Czemu on się zatrzymał?

-Chyba jakaś awaria...

-Ale ja się śpieszę do pracy!

-Tam widać jakiś dziwny pojazd!

Ludzie wysiedli z tramwaju i zaczęli ze zdziwieniem oglądać statek

Nagle otwiera się kłapa statku i wypełza z niego, pozostawiając za sobą ślad śluzu, trzech stworków wyglądających jak duże obślizgłe ślimaki bez muszli. Ich trójkątne głowy zaopatrzone w czułki rozejrzały się ciekawsko po okolicy.

Wszyscy ludzie bardzo się przestraszyli i od razu na ich widok zamilkli.

"Przynieście mi dużo lizaków!" powiedział Pierwszy.

"Nie rządz nimi! Bo to ja chciałem to robić!"

Zakrzyknął na to Drugi.

"Zabijmy ich wszystkich, bo mam już dość tego ludzkiego zapachu! Musimy sprowadzić tu naszą rodzinę, bo przecież u nich na planecie toczy się kłótnia obcych."

Przerwał im Trzeci.

Wszyscy ludzie uważnie słuchają obcego języka, ale nic nie rozumieją bo ich mowa przypomina bełkotanie. Niektórzy ludzie już nawet stoją blisko statku i oddają wszystkie lizaki, ale strasznie trzęsą im się ręce ponieważ nie wiedzą co taki okropny stwór może im zrobić.

W końcu jeden starszy, siwy pan z bródką się strasznie zdenerwował i zaczął krzyczeć.

"Co wy od nas chcecie wredne potwory i po co tutaj przylecieliście?!!"

Wkurzony starszy pan zasadził kopa w ich latający pojazd kosmiczny, tak mocno że o mało nie wypadła mu trzymana w ręku laska.

"Mówiłem wam że trzeba ich wszystkich zabić!"

Powiedział Trzeci.

"Nie ma mowy! Zaraz zrobimy z nimi porządek!"

Odpowiedział Drugi i zszedł do zdenerwowanego pana.

Wszyscy ludzie odsunęli się od statku a dzieci były tak przestraszone, że pouciekały ze strachu. Pan który był już bardzo zbulwersowany i miał już dość tego co się w ten dzień działo i powiedział tak:

"Idę stąd ponieważ jeszcze mi coś zrobicie wredne brzydale"

I wszyscy pouciekali.

Gdy już się tak wszyscy w domach ukrywali to w ten czas obcy obserwowali całą okolicę. Obwąchiwali ją i doszli do wniosku, że ludzie jednak są bardzo źli i że wezmą dla Pierwszego zapas lizaków, tych słodziutkich lizaków. A potem będą nimi rządzić parę dni tak aby wielu już dość. Następnie wszystkich pozabijają tylko zostawią ich ze czterech żeby służyli ich rodzinie. Ale wcześniej każą im przyprowadzić Świętego Mikołaja bo on przynosi bardzo dużo fajnych prezentów.

"Musimy im kazać przyprowadzić Świętego Mikołaja!"

"Tak racją potrzebuje dużą ilość lizaków"

"Weźmiemy go w niewolę!"

"I każemy dać fajne prezenty!"

Jednak ktoś z ludzi odpowiedział:

"Ale świętego mikołaja nie da się tu sprowadzić w środku lata!"

Po chwili zawtórował mu inny głos:

"No właśnie on przychodzi tu tylko raz na rok w święta!"

I nikomu nie udało się sprowadzić Świętego Mikołaja więc obcy postanowili wracać do domu.

"Jednak ta ziemia nie jest odpowiednia dla nas i naszych rodziny.

I odlecieli.

Koniec

---

## „Sahara”

Autor: wychowanek MOW przy Barskiej

Pewnego dnia na pustyni Sahara rozbił się samolot Boeing 747, w którym leciało 60 osób na wycieczkę do Paryża.

Na pustyni widać rozbity samolot wbity w ciągnącą się kilometrami wydmy.

Żar leje się z błękitnego nieba.

Z dymiącego wraku próbuje wydostać się średniego wzrostu, ciemnowłosy mężczyzna.

Po chwili staje na piasku.

Rozgląda się i zauważa ciała. Podchodzi do jednego z nich klęka i sprawdza czy żyje. Po chwili badania wstaje z niezadowoloną miną i rusza w stronę kabiny samolotu. Sprawdza w niej czy radio jest sprawne. Gdy po kilkunastu minutach wychodzi z wraku na jego twarzy widać załamanie.

Słyszy jednak dziwne odgłosy, jakby ktoś ranny człowiek chciał się wydostać z wraku. Harry zatrzymuje się i uważnie się przygląda. Po chwili zauważa ruch pod urwanym silnikiem. Podbiega z pomocą.

Po odciągnięciu złomu, ze środka wychodzi niski i napakowany mężczyzna.

"Dziękuję! - mówi - Nazywam się Mark."

Harry rozgląda się i krzyczy "Pomocy!"

Ale nikt poza Markiem go nie słyszy.

Mężczyźni najpierw przenoszą się w cień skrzydła aby odpocząć i ochłonić. Czas leci a Markowi coraz bardziej chce się pić. Czas leci a żar lejący się z nieba daje mu się coraz bardziej we znaki.

Harry zaczyna przeszukiwać wrak w poszukiwaniu prowiantu, co jakiś czas wzywając pomocy ale na daremnie.

W końcu pomiędzy rozbitymi szczątkami samolotu udaje mu się znaleźć coś do picia. Biegnie do umierającego Marka i pomaga mu się napić.

Mark po jakimś czasie przytomnieje, patrzy na Harrego i pyta

"Co my teraz zrobimy?"

Załamany i zdenerwowany Harry odpowiada:

"Na razie czekamy. Może zdarzy się cud. Ktoś będzie leciał w tą samą stronę i pomoże się nam stąd wydostać. Ale nie liczył bym na to."

Mark i Harry nie wiedzieli, że pomoc jest już w drodze. Pilot przelatującego samolotu już wezwał pomoc.

"Będziemy kiedyś przyjaciółmi" - powiedział Harry.

Mark nie odpowiada. Patrzy bezmyślnie na horyzont. Powoli wstał. Z każdą sekundą jego ruchy zaczęły nabierać szybkości. Wbiegł na szczyt wydmy "Hurra!" zaczął krzyczeć jednocześnie skacząc i wymachując

rękoma.

Na niebie pojawiło się kilka śmigłowców lecących w stronę wraku. Jeszcze zanim wylądowały sanitariusze wyskoczyli z maszyn i podbiegli do Marka i Harrego i natychmiast zaczęli opatrywać ich rany i prowadzić w stronę maszyn szykujących się do odlotu. Gdy tylko Mark i Harry doszli do siebie pojawili się policjanci którzy mieli ustalić przyczynę wypadku.

Po długim przeszukiwaniu wraku sierżant Cris odnalazł wśród paszportów ofiar również broń. Wraz z asystentem zabezpieczyli dowody, wiedząc że będą istotne w dochodzeniu. Po kilku tygodniowej analizie materiału udało się odnaleźć odciski palców sprawcy katastrofy. Uzbrojone po zęby oddziały policji wkraczają do mieszkania sprawcy i bez oddania ani jednego strzału aresztują go. 34 dni później odbywa się rozprawa sądowa. Sprawca wynajął najlepszego adwokata. Jednak materiał dowodowy nie pozostawiał wątpliwości.

Wśród widzów siedział również Mark. O czym mógł myśleć ten człowiek, który jako jeden z dwóch ocalał z tej katastrofy, gdy patrzył na wyprowadzanego z sali w kajdankach Harrego?

Koniec

---

## „Tajna Misja”

Autor: Robert Kościuk, wychowanek MOW przy Barskiej

Wyobraźmy sobie bardzo starą bazę wojskową z której ścian farba odchodzi płatami. Na dziedzińcu, na matach grupka żołnierzy trenuje na sztuki walki ćwicząc na manekinach. Po wszystkich treningach instruktor wstaje:

"Kto chce mnie wyzwać do walki?"

Wstaje umięśniony facet z blizną przecinającą oko i z tatuażem na ramieniu. Podchodzi do trenera i kiedy stoją tak przygotowani przerwało im wołanie:

"Roko! Do gabinetu generała"

Chwilę później generał zapytał go

"Mam dla Ciebie ważne i bardzo ciężkie zadanie, podejmiesz się go?"

Roko bezmyślnie się zgodził.

Już kilka minut później w swojej kwaterze pakował do torby wyciągniętej spod łóżka najpotrzebniejsze rzeczy, broń, granaty, noktowizor.

Nie czekając dłużej udał się na lądowisko i po kilkunastu minutach leciał już helikopterem na wyspę położoną niedaleko brzegu. Spojrzał w dół i zobaczył że jest okropnie ciemno. W ogóle nie było wydać wyspy. Komandos z lekkim niepokojem założył noktowizor, przeżegnał się i skoczył aby po chwili otworzyć spadochron.

Wylądował na drugim końcu wyspy przy plaży. Przez noc dotarł do swojego celu.

Obserwując bazę wojskową z ukrycia zorientował się że jest nieźle strzeżona. Po rogach porozstawiane były ambonki z żołnierzami, wszystko otoczone siatką z drutem kolczastym a cały teren patrolują żołnierze z psami.

Komandos oparł się o drzewo i postanowił odpocząć zanim zacznie działać. Zamknął oczy lecz po chwili usłyszał lądujący helikopter. Szybko pobiegł na pobliskie wzgórze wyciągnął lornetkę z podczerwienią i zobaczył dwóch kolesi wynoszących z helikoptera skrzynie.

Pomyślał że to właśnie jego cel.

Położył się z powrotem pod drzewem s przespał się trochę.

Gdy się obudził zaczął układać plan wkradnięcia się do bazy. Po kilku godzinach ściemniło się a Roko postanowił wystartować.

Podszedł do siatki i przeciął ją metalowymi cążkami. Przeszedł na drugą stronę i zauważył zbliżającego się strażnika z psem. Schowała się za drewnianą komórką a gdy strażnik zbliżył się rzucił nożem. Pies lekko

zajączka, a Roko był już w żołnierzu i jednym ruchem skręcił mu kark. Szybko schował ciało strażnika i psa za komórką.

Zdjął z barku karabin maszynowy i z lunetą i przykręcił tłumik wyciągnięty z paska. Wymierzył go w stronę pierwszej ambony na głowę żołnierza. Nacisnął spust i bardzo szybko zmienił cel na drugiego żołnierza. Jego też zabił. Chwilę później wchodził już do budynku i przemykał niezauważenie pomiędzy pokojami.

Dotarł w końcu do pokoju z monitoringiem. Podbiegł do siedzącego przed monitorami mężczyzny, skręcił mu kark i zrzucił jego ciało z fotela. Usiadł na jego miejscu i zaczął przełączać kamery szukając skrzyni. W tym czasie jeden ze strażników na zewnątrz zauważył swojego zabitego przyjaciela. Wezwał resztę ochrony.

"Mamy intruza! Niech wszystkie jednostki będą w gotowości."

Roko usłyszał przez radio raport wroga. Wyszedł z pokoju i pobiegł korytarzem, skręcił w prawo i wpadł na jednego ze strażników. Szybko przewrócił go i zagłębił nóż w jego szyi. Podniósł się zabrał krótkofalówkę i pobiegła dalej.

Domyślił się że w tej sytuacji żołnierze będą chronić jednej Sali i zapewne tam znajdzie skrzynie. Zatrzymał się na rogu korytarza przed zakrętem w lewo. Zdjął karabin i odkręcił tłumik. Wskoczył zza rogu i od razu zastrzelił strażników stojących pod drzwiami.

Po chwili był już w garażu. Na środku stała skrzynia. Roko wziął łom ze bagażnika stojącego obok samochodu, podważył lekko wieko skrzyni i zajrzał do środka. W środku było to czego szukał. Zamknął pojemnik, załadował go na niebieskiego jeepa i ruszył z piskiem opon.

Uciekał między drzewami na plażę aby odlecieć helikopterem.

Spojrzał w boczne lusterko samochodu i zobaczył że gonią go dwa samochody. Żołnierze zaczynają ostrożnie strzelać aby nie uszkodzić zawartości skrzyni. Roko wyciągnął pistolet z kabury i wystawił rękę za okno ostrzeliwując się.

Po paru sekundach gałąź uderzyła go w rękę a pistolet wypadł.

Jadący z tyłu strażnicy usłyszeli jakiś warkot, zdziwili się jednak nie przerwali pościgu. Zauważyli że las zaraz się skończy. Uśmiechnęli się na myśl, że zaraz złapią uciekiniera i zakują go w kajdany.

Po chwili uśmiechając się wjeżdżają już na plażę. Nagle, wyrasta przed nimi helikopter z działkami na przedzie i zaczyna strzelać. Mina im zrzedła, a po chwili oba samochody wyleciały w powietrze.

Roko zatrzymał samochód. Z helikoptera który wylądował na plaży wyszło czterech żołnierzy. Wzięli skrzynie i załadowali ją do maszyny. Ze śmigłowca wysiadł również Generał podszedł do komandosa i podał mu rękę. Razem pobiegli do helikoptera. Gdy odlatywali w noc, generał pogratulował mu sukcesu i wręczył mu pieniądze za akcję.

Po kilku dniach gdy Roko wrócił do domu z pracy, zobaczył wyłamane drzwi. Wewnątrz wszystko jest połamane i poprzewracane.

"Monika!"

Pomimo, że biga pomieszkaniu nigdzie nie znajduje żony, ani 9 letniej córeczki. Wyciąga telefon i wybiera numer żony. Po kilku sygnałach w telefonie odzywa się męski głos.

"Mamy twoją żonę i córkę. Chyba nie chcesz żeby coś im się stało?"

"Jak coś im zrobisz ZABIJĘ CIĘ! Rozumiesz? ZABIJĘ CIĘ!"

Mężczyzna spokojnie odpowiada.

"Uspokój się."

"Czego ode mnie chcecie?"

"Pamiętasz jak tydzień temu wpadłeś na wyspę i wykradłeś drewniana skrzynie zabijając kilku moich najlepszych ludzi? Dostarczysz tą skrzynie z powrotem w to samo miejsce z którego ją zabrałeś. Jasne?"

I nie czekając na odpowiedź mężczyzna rozłączył się. Roko chwycił szklankę stojącą na stole i rzucił nią w ścianę.

Poszedł do sypialni i wyjął broń z szuflady komody. Przeładował i schował pod bluzę. Złapał kurtkę i wybiegł z domu. Na rogu złapał taksówkę i kazał się zawieźć do bazy.

Kilkadziesiąt minut później był już w gabinecie generała. Opowiedział mu wszystko co się stało, a generał potakiwał tylko głową.

"Dobra. Bierz skrzynię i tylu chłopaków ilu chcesz."

"Dzięki. Ale to moja sprawa i sam to załatwię"

Niedługo potem gdy jechał do portu samochodem Roko zadzwonił do swojego przyjaciela. Powiedział mu co się stało i poprosił o wypożyczenie jego łodzi. Znajomy zgodził się.

Skrzynia znalazła się niedługo na białej łodzi, która mknęła na wyspę.

W połowie drogi zadzwonił telefon. Roko wyciągnął aparat z kieszeni i zobaczył zdjęcie swojej żony na ekranie telefonu. Szybko zgasił silnik aby porywacz nie wiedział czym przyjedzie.

Odebrał połączenie.

"Jeśli nie zjawisz się ze skrzynią za 4 godziny to zabiję twoją żonę... albo córkę. Potem będziesz miał tylko 2 godziny na ocalenie drugiej z nich."

"Będę za dwie" - skłamał Roko.

"Oby tak było" - powiedział porywacz i rozłączył się.

Komandos zapalił silnik motorówki i ruszył pełną mocą. Gdy był już blisko wyspy ponownie zgasił silnik i rozpędzony podryfował do brzegu. Chwilę potem skrzynia była już na piasku a łódź była przykryta czarną płachtą. Chwile potem Roko odnalazł porzucony tu tydzień temu samochód którym uciekł z bazy.

Załadował na niego z powrotem skrzynię i ruszył przez las. Dotarł do bramy, którą strażnik otworzył ją bez słowa. Wjechał na dziedziniec zdjął skrzynie i wszedł do budynku. Ochrona zaprowadziła go do pokoju w którym czekała na niego jego rodzina. Roko podbiegł i przytulił żonę oraz córkę. Odwrócił się jednak gdy tylko usłyszał głos mężczyzny z którym rozmawiał przez telefon.

"Masz czego chciałeś - powiedział - teraz puść nas wolno."

"Chyba żartujesz że to zrobię! Nie jestem głupi żeby wypuszczać jedynych świadków"  
Razem z dwoma strażnikami, którzy stali po jego bokach wymierzili lufy w ich stronę.

"Masz jakieś ostatnie życzenie?"

Spytał porywacz.

"Tak - odpowiedział Roko- Zdychaj powoli!"

Wyszarpnął spod kurtki dwa pistolety i zastrzelił dwóch kolesi stojących po bokach porywacza a w niego rzucił nożem, który wbił mu się blisko serca. Roko wybiegł z rodziną z budynku i przez nikogo nie zatrzymywani dojechali do łodzi. Gdy ruszyli Roko wyciągnął zapalnik z kieszeni i wcisnął niebieski przycisk. Kilka sekund później cała rodzina zobaczyła wielki wybuch na środku wyspy.

"Co to było?" - spytała Monika

"Zrobiłem bombę którą schowałem w skrzyni tak żeby Ci dranie nie dostali prawdziwej główicy.

Roko skończył z tajnymi misjami. Oddał generałowi prawdziwą główicę a za zarobione pieniądze wyremontował dom.

KONIEC

---

## „KALINA”

Autor: Zuzanna Sobocińska Uczennica gimnazjum Im. Ireny Sendlerowej

Był ciepły, słoneczny poranek. Promienie słońca prześlizgiwały się pomiędzy liśćmi, kwiaty wyciągały się w stronę słońca. Dął lekki, przyjemny wietrzyk. Nad łąką unosiła się mgła, która w połączeniu z promieniami słońca sprawiała wrażenie złotek zasłony. Po łące, płynnymi tanecznymi ruchami poruszała się Kalina- leśna driada. W ręku trzymała bukiet stokrotek i co jakiś czas schylała się, by zerwać następną. W drugiej ręce niosła wikliniany koszyk w którym znajdowały się tzw. „dary lasy”- jabłka, gruszki, owoce dzikiej róży, jagody i jadalne korzonki. Co jakiś czas siadała na gałęzi drzewa i zatapiała zęby w miękkim, soczystym owocu. Kalina jadła powoli, delektując się każdą chwilą. Kiedy cała gruszka zniknęła w jej wiśniowych usteczkach, driada postanowiła, że wdrapie się na drzewo (swoje ulubione zresztą). Była to wielka, rozłożysta lipa. Kala wiedziała, jak bardzo to drzewo było ważne, dla ludzi z jej plemienia. Babcia opowiadała jej, jak razem ze swoją siostrą bawiły się na jej gałęziach w berka. To drzewo rośło tam już bardzo, bardzo długo, w naszym świecie, powiedziano by, że to pomnik przyrody, ale tam gdzie żyła Kalina określało się to jako „Fuerladerdum de verduneres”- czyli „Od zawsze, na zawsze”. To była sentencja znanego wówczas pisarza (zresztą dalekiego dziadka głównej bohaterki) Kwirendo Maxpormisa. Kala wspinała się powoli, co jakiś czas opierając się policzkiem o korę lub biorąc na ręce małą wiewiórkę. Po gałęziach lipy biegały wiewiórki a gdzieś tam można było zobaczyć ptasie gniazda. Długo przyglądała się wykluwającym się ptakom, była świadkiem ich pierwszego spojrzenia na świat, pierwszego karmienia i pierwszego niezdarne chodu. Uważnie śledziła ich pierwsze niezbyt udane próby lotu. W tym momencie driada dziękowała Bogu, za to kim jest, bo to pozwalało jej obserwować z bliska pisklęta i nie bać się, że matka zrobi jej krzywdę. Żyła w niesamowitej harmonii ze światem naturalnym. Zwierzęta to



wyczuwały i przyjmowały Kalinę z otwartymi ramionami.

Kiedy już weszła na sam szczyt drzewa, odgarnęła liście i wyjrzała. To co zobaczyła było zapierającym dech w piersiach widokiem. Olśniły ją ostatnie, pomarańczowe- różowe promienie promienie zachodzącego słońca. Przed nią rozciągał się piękny krajobraz lasu, łąk i jezior. Gdzieś z daleka dochodziło ciche szemranie strumyka i cichy, melodyjny śpiew innych driad . Kalina bardzo długo siedziała na drzewie, wpatrując się w dal, chłonąc piękno i nasłuchując. Kiedy wreszcie poczuła, że zdrętwiały jej wszystkie mięśnie, postanowiła wrócić do domu. Miała ochotę przy ciepłym ognisku porozmawiać ze swoją najlepszą przyjaciółką Saphirą, opowiedzieć jej o swoich przeżyciach, o swoim dniu. Poza tym Kala była już porządnie głodna, miała ochotę na zapiekane owoce w sosie z grzybów, korzonków i słodkich mchów. Mhm. Driadzie aż ślinka napłynęła do ust, pomyślała, że może nazbiera i utrze trochę świerkowych szyszek, będą wyśmienite na posypkę. Rozmyślanie Kaliny przerwał szelest, gdzieś w głębi lasu, złowieszczo coś zatrzeszczało, driada obróciła się napięcie i czujnym, bystrym wzrokiem omiotła ścianę lasu. Choć Kala nie należała do strachliwych, w tej chwili bała się okrutnie. Była driadą, ale przede wszystkim kobietą obdarzoną niezwykłą intuicją i właśnie w tej chwili intuicja podpowiadała jej, że jest w niebezpieczeństwie. Kolejny szmer dochodzący od strony lasu, utwierdził ją w przekonaniu, że powinna uciekać. Puściła się biegiem, w przeciwną stronę. Przedzierając się przez chaszczki i zaplątując w pajęczyny, dziewczyna rozmyślała co robić. Choć nie słyszała niczego poza swoim własnym tętnem i świergotem ptaków to wiedziała, że ten ktoś nadal ją goni. Kala biegła dużo szybciej niż zwykli ludzie – wyłącznie dzięki temu, udało jej się uciec. Po parunastu minutach dotarła do osady „Anilak”- do jej rodzinnego domu. Zapatrzyła się w małe domki zrobione z kory drzewa, liści i traw, w nimfy tańczące nad cicho szemrzącym strumykiem, na matki z niemowlakami i wreszcie na swoją rodzinę. Jej matka Sweetrina i ojciec Olden podrzucali do góry jej młodszą siostrę Neotelę, z boku, przyglądając się im stała starsza siostra Kali- Arya. Nagle Kalina poczuła, że po jej różowym policzku spływa łza, potem druga, trzecia i kolejne. Patrzyła na coś, co za chwilę miało rozsypać jak domek z kart. Wkrótce potem poczuła, że Saphira kładzie jej rękę na ramieniu a drugą głaszcząc po blond główce. Poczuła, że znowu płacze. Saphira przyglądała jej się, smutnymi, poważnymi oczami, które przypominały kolorem głębie oceanu. Długie do pasa, czarne włosy i alabastrowa skóra odróżniały ją od innych driad, pokochała Kalinę, bo ta nigdy nie dociekała, czemu wygląda tak, jak wygląda. Czemu wybrała sobie taką postać. Bo trzeba wiedzieć, że driady wybierają sobie postać jaką przyjmą. Te leśne stworzenia z natury są niezwykle entuzjastyczne, pozytywnie nastawione do świata. A Saphira dopiero uczyła się taką być. Miała dość straszne wspomnienie z dzieciństwa, straciła rodzinę, i odtąd mieszkała z Kaliną. Były dla siebie stworzone, to była przyjaźń od zawsze, na zawsze, obie były sobie najbliższe. Saphi nie często okazywała uczucia, ale mimo to Kalina wiedziała, że jest jej najlepszą przyjaciółką.

-Saphiro...Jak dobrze, że jesteś.

-Zawsze jestem, kiedy mnie potrzebujesz i kiedy ja potrzebuję ciebie. - odpowiedziała głosem przypominającym szept oceanu.

-Choć ze mną, muszę pilnie porozmawiać z babcią.

I poszły, domek starszej pani stał na uboczu, ponieważ Aduella była samotnicą, choć najmądrzejszą i najstarszą kobietą w wiosce. Ludzie uważali ją za znachorkę, spowiednika, lekarza, jednym słowem była tym, czym chcieli mieszkańcy wioski. Pukając, Kala modliła się, by babcia ją zrozumiała. Ledwie podniosła pięść, żeby zapukać do drzwi, Aduella sama im je otworzyła, jakby wiedziała, że tam stoją.

-Witajcie- powiedziała.

-Dzień dobry babciu.- Odpowiedziały nieco speszone.

-Proszę, wejdźcie do środka.

Dziewczęta weszły i zaczęły rozglądać się z zainteresowaniem po domu starszej pani. Domek był mały, ale aż dziw było ile książek, bibelotów, porcelany, gazet, suszonym maków i figurek zwierząt mogło się tam zmieścić. Ściany były koloru jesiennych liści- w odcieniach żółci, zieleni, czerwieni i pomarańcza, na nich wisiały obrazy przedstawiające pola i lasy Negradu- ojczystego kraju Kaliny. W około roztaczał się miły zapach kwiatów, imbiru i świeżo skoszonej trawy. Driady usiadły na puchach wypchany płatkami róż, natomiast Aduella na krzesło przy stole. Zanim spojrzała na Saphirę i Kalę dopisała parę słów na pergaminie. Wtedy zaczęła się opowieść. Driada starała się streszczać, bo wiedziała, że zostało już bardzo mało czasu. Stopniowo im bliżej była końca opowieści, babcia coraz szerzej otwierała oczy, lub załamywała ręce. Kiedy Kalina skończyła, starsza pani cichym, drżącym od bólu głosem zaczęła mówić:

-Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, po wiosce krążyły dziwne plotki, opowiadano o straszliwym człowieku, który zabija driady, o jego wielkiej potędze i o driadzie, która go pokona. Moja mama w to nie wierzyła. Twierdziła, że to brednie. I mnie wpajała to samo. Aż pewnego ranka, kiedy słońce krwisto wschodziło, z lasu wyłonił się mężczyzna, z toporem w rękę i z napiętą cięciwą łuku. Krzyczał, że to koniec, dziwnymi malutkimi patyczkami i pudełkiem podpalał las, domy, a nawet ludzi. Wybuchła panika, wszyscy uciekali w popłochu, ale on był sprytny. - babcia wzdychając przerwała opowieść, by po wytarciu nosa, znowu do niej wrócić- Oszczędzę wam resztę, pozabijał bardzo wiele stworzeń. Setki istnień. Moja mama i ja schroniliśmy się w krzakach, jakiś cud, czy co, że naszego domku nie tknął. Przeżyliśmy.

- Chcesz powiedzieć, że to on, że on wrócił?- Spytała Kala, która ledwo wymawiała słowa, ze smutku, który zawładną całą nią.

-Nie przerywaj mi. Potem, ludzie odbudowując domy, chowając zmarłych i zbierając od nowa zapasy na zimę, szeptali między sobą, o driadzie, która uciekła. Co niezwykle, ci co widzieli to zdarzenie mówią, że zniknęła wepchnięta przez swoją matkę do stalowo czarnego wiru, który zniknął zaraz potem. Odtąd, choć o tym publicznie się nie mówi, bo zabroniła tego rada, wszyscy boją się Darkmoona, który zapowiedział, że wróci, by dokończyć dzieła.

-Jak go nazwałaś?- spytała Saphira- Darkmoon?

-Tak, to imię jakie nadali mu mieszkańcy Anilaku. Podejrzewam Kalino, że go właśnie spotkałaś. - Przy tym zdaniu rozpłakała się na dobre.

Driady, choć same wstrząśnięte do granic możliwości, próbowały pocieszyć tą miłą, siwowłosą staruszkę. Jednocześnie Saphi wpatrywała się ze źle ukrytym przerażeniem na przyjaciółkę.

-Dobra- Aduella poderwała się z krzesła i wybiegła na dwór krzycząc:

-Wszyscy mieszkańcy wioski mają stawić się na placu koło strumyka! Sytuacja awaryjna!

Przez następne parędziesiąt sekund wszyscy zbierali się wokół znachorki. Babcia Kali mówiła szybko ale treściwie. Wkrótce wszyscy ludzie wiedzieli co za chwilę się stanie. Ci, którzy mieli kilkaset lat, pamiętali jeszcze tamą napaść Darmoona i teraz z przerażeniem uciekali w głąb lasu. Matki chowały dzieci w specjalnych tunelach, które zostały wybudowane na wypadek pożaru.

Kala podeszła do swojej mamy i powiedziała:

- Mamo?! Co mamy robić, schowajmy Noetellę! Szybko!

Sweeti nie odpowiedziała, patrzyła z przerażeniem, jak ludzie szykują się do walki, jak naiwnie próbują zabarykadować domy, jak żegnają się z dziećmi i na szybko robią dzidy z kory drzew. To ją przerażało. Wiedziała, że Kalina i Arya są na tyle dorosłe, że muszą razem z innymi stawić się do „walki” z Darkmoonem. Nie chciała ich puścić, chciała uciec z nimi do lasu, schować je.